



KLIMIEK



POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC

ROK V

Kwiecień 2000

Nr 2 (15)

Relacja z XV Zimowego Wejścia na Babią Górę-organizowanego w dniach 25-27.02.2000 przez O/PTT Sosnowiec.

W roku Jubileuszu 70 lecia działalności PTT na terenie Sosnowca postaraliśmy się nadać naszej imprezie jak najbardziej uroczysty charakter. Po pierwsze staraliśmy się dotrzeć do tych wszystkich, którzy wędrowali z nami przez ostatnie 15 lat na babiogórskich szlakach. Do Suchej Beskidzkiej uczestnicy imprezy dojechali :autokarami, mikrobusami, samochodami osobowymi oraz pociągami. Ja osobiście przyprowadziłem grupę osób, która startowała z Katowic pociągiem. Na trasie obserwowaliśmy prawie wiosenną pogodę, dopiero w rejonie Lachowic powitała nas zadymka śnieżna. Na polach zrobiło się białe. W karczmie „Rzym” atmosfera jak zwykle była wspaniała, degustowaliśmy przysmaki kuchni suskiej, na gitarach przygrywali nam Sylwek i Alek. Potem przejazd do Zawoi. Ponieważ było ok. 150 osób kwaterowaliśmy uczestników w DW „Krakowianka”, oraz w pensjonacie „Słoneczko”. W godzinach wieczornych wszyscy spotykaliśmy się w „Krakowiance” na wieczorze piosenki turystycznej. Były w sumie 4 gitary, a muzyka brzmiała do późnych godzin wieczornych. Z Oddziałów PTT najliczniej reprezentowany był Oddział PTT Sosnowiec, oraz zaprzyjaźnieni z nim koleżanki i koledzy z takich miast jak: Zawiercie, Jastrzębie Zdrój, Mysłowice, Rybnik, Żory, Wodzisław, Bełchatów, i Olkusz. Młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 37 z Sosnowca przyjechała ze swoim opiekunem Pawłem Kosmałą. Dotarli także inne Oddziały PTT: Kalisz, Chrzanów, Oświęcim, Radom, Warszawa, Łódź. Liczną grupę przywiózł Tomek Gawlik z Ostrowca Świętokrzyskiego. Jest to dobry materiał na nowy Oddział PTT. W godzinach wieczornych zadzwonił do nas baba Michlik i powiedział, że w sobotę zamelduje się z grupą osób z O/Ostrzeszów. Wieczorem nad Zawoją przeszły bardzo duże opady deszczu.

26.02.2000

Rano spod „Słoneczka” ruszamy na szlak. Pogoda dobra, pada mały śnieg. Śniegu z każdym krokiem coraz więcej. Przykra niespodzianka spotyka na nas na granicy BPN.

na Markowych Szczawinach jest zniszczony. BPN powinien zadziałać bardzo szybko.

W rejonie schronisku już prawie 2 m. śniegu, a do środka można się dostać tunelem. Powyżej schroniska żadnych przetartych śladów w kierunku Brony. Na trasie dojściowej bardzo miła niespodzianka. Janek Weigel przyprowadził sporą grupę z Oddziału PTT Bielsko-Biała. Zatrzymali się w obiekcie będącym pod patronatem PTT.

Na szczyt wchodzimy już razem. Na Bronie krótki odpoczynek, a potem coraz piękniej. Wiatr i śnieg uczynił z kosodrzewiny stwory przypominające jakieś duchy. Wiatr wzmagal się coraz bardziej, a w kopule podszczytowej zamienił się w huragan. Widoczność była bardzo mała, na panoramy nie było szans. Wszyscy byli zadowoleni z wejścia. Po krótkim odpoczynku powrót. Zejście było jeszcze trudniejsze. Wiatr wiał coraz bardziej. Dopiero po przekroczeniu Kościółków uspokoiło się na dobre. Po odpoczynku w schronisku wracamy do bazy.

W „Krakowiance” w godzinach wieczornych rozpoczęły się uroczystości. Wręczono dyplomy dla uczestniczących ekip. Najbardziej zasłużeni dla imprezy otrzymali nagrody książkowe.

Prezes O/PTTK w Sosnowcu Staszek Czekalski wręczył Prezesowi O/PTT w Sosnowcu Zbyszkowi Jaskierni nagrodę z dedykacją: „Zarząd Oddziału PTTK im. Aleksandra Janowskiego w Sosnowcu z okazji XV Zimowego Wejścia na Babią Górę składa serdeczne gratulacje za kontynuację wypraw na „Królową Beskidów”, wraz z życzeniami spełnienia wszelkich aspiracji i zamierzeń”.

W podpisie: Prezes Klubu Przewodników Turystycznych Paweł Solarz, i Prezes Zarządu Oddziału PTTK Stanisław Czekalski.

Wieczór poświęcony był Wojtkowi Bellonowi w 15 rocznicę jego śmierci. Sylwek Dąbrowski przypomniał jego sylwetkę. Następnie rozpoczął się koncert „Wolnej Grupy Bukowina”. Zespół przypomniał szereg kultowych utworów Bellona, ale zaprezentował także szereg nowych własnych kompozycji. Po koncercie rozpoczął się wieczór turystyczny. Były wspaniałe szaszłyki, dobre żywieckie piwo, a do tańca przygrywała grupa „Forum” z Żor. Zabawa trwała do godz. 3 nad ranem. Potem w podgrupach śpiewy trwały do godz. 5 nad ranem.

W niedzielę poszczególne ekipy realizowały własny program. Większość wybrała się na narty. Ok. godz. 12 wszyscy spotkali się w karczmie „Rzym”. Tutaj tradycyjnie spotkaliśmy się na pożegnalnym piwku. Wszyscy obiecujemy sobie, że spotkamy się za rok.

XV Zimowe Wejście na Babią Górę przeszło do historii.

Na koniec wymienię sponsorów dzięki którym nasza impreza doszła do skutku:

- 1/ FIRMA „PROFIL”.
- 2/ „MILMEX”-Systemy komputerowe.
- 3/ Firma Pana Pokaszewskiego.
- 4/ Biuro Podróży „Zodiak” Sosnowiec
- 5/ Urząd Miejski w Sosnowcu.

/Zbigniew Jaskiernia /

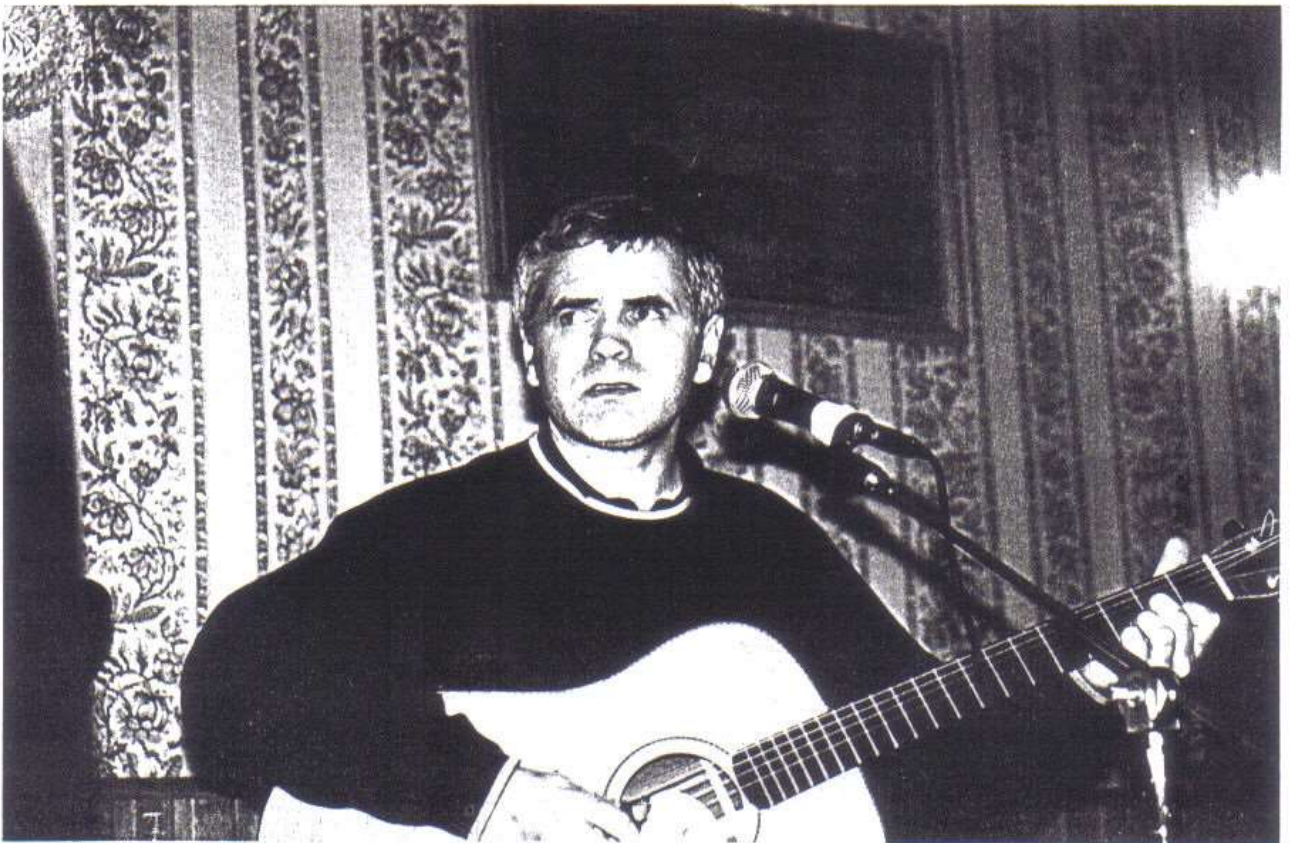
Klakson, gaz, adrenalina i najwyższy szczyt Dolomitów

Po kolejnym noclegu w dziwacznej, niewykończonej betonowej budowlu obudził nas poranny chłód i zachmurzone niebo. Nie ma sensu dalej tu siedzieć – przy śniadaniu złożonym, jak zwykle od kilku tygodni, z makaronu przyprawionego konserwą – podjęliśmy decyzję, że jedziemy dalej, w głąb Dolomitów. Konserwa, pomimo innej nazwy i etykiety, zaskakująco przypominała smak tej, która była poprzedniego dnia na kolację. Zwiniliśmy karimaty i jak co rano, z zapalem zabraliśmy się do upychania wszystkiego do bagażnika. Jak zwykle, potężny bagażnik naszego kochanego samochodu okazał się za mały, ale jak się we dwóch zaparliśmy, to kłapa charakterystycznym trzaskiem oznajmiła, że się zamknęła. Uff, powoli zjechaliśmy krętą, wąską, asfaltową ścieżką do głównej drogi, gdzie rozpędziliśmy się troszkę, a pogoda w miarę jazdy zdawała się wyraźnie poprawiać. Wewnątrz ciemnobłękitnego blaszanego pudełka czterem osobom wyraźnie poprawiły się humory. Jak zwykle radio w tych górskich okolicach odmówiło czystego odbioru więc po raz sześćdziesiąty ósmy wrzuciłem starym kasetę – weterankę trzeszczącą od chwili, gdy przypieklą się na południowych upałach. Przy znanych nam pamięć dźwiękach dognaliśmy niebieski „Dolomitan BUS”, który zaczął już wpływać nam na nerwy, blokując drogę... Ale pięć tysięcy kilometrów na śródziemnomorskich drogach przez ubiegłe tygodnie nauczyły mnie jeździć jak południowcy: klakson, gaz i po chwili błękitny „Dolomitan” zginął w lusterku wstecznym, za to pasażerem podwyższyła się adrenalina. Podjazd stawał się coraz bardziej stromy, a pogoda coraz ładniejsza. Zza kolejnego szczytu wylonil się szeroki garb Marmolady. Pogoda prześliczna, chmury pozostały gdzieś za nami i tylko krople na masce przypominały kilkudniową slotę. Redukując na czwórkę minąłem znak „stromy podjazd”. Doladowany czterema pasażerami i ich bagażem lanos wydawał się „mięknąć”, pomimo dynamicznego silnika. Tylne chlupacze niemal szurały po asfalcie, ale znów wzrosła nam adrenalina, bo – sprawa ambicyjna – trąbiąc powolutku wyprzedzaliśmy na serpentynach jakiegoś fiata. Jego kierowca z wściekłą bezsilnością na twarzy, z zazdrością patrzył na egzotyczny we Włoszech „koreański złom”. „Podjazd był naprawdę niesamowicie stromy; 86-konny silnik nie dawał rady na

trójce, więc pilowaliśmy 40-tką na dwójce. Zresztą tych serpentyn i tak szybciej nie dało się przejechać. Wkrótce przejechaliśmy przez ciekawe galerie jednoznacznie kojarzące nam się z jedną z plansz wyścigów komputerowych i wreszcie przelecz, tuż pod nią zaporą i parking. Widoki były niesamowite. Deszcz oczyścił powietrze, a dzięki chłodnemu porankowi mgiełki nie zdążyły się jeszcze podnieść. Głęboko oddychaliśmy tym alpejskim powietrzem, którego krystaliczność czuć było aż na dnie płuc; to było coś niezapomnianego. Czas było wygrzebać z bagażnika plecaki i uprzącze. Jak zwykle były na dnie, więc trzeba było wszystkim pokazać, co z sobą wieziemy, wyciągając cały majdan na asfalt. Wreszcie są! Krótkie przepakowanie i wrzucamy do bagażnika zbędne rzeczy. Tym razem nie trzeba było upychać – to czego nie wpakowaliśmy do plecaków, bez trudu zmieściło się w kufrze. Kilka metrów wyżej parkingu – dolna stacja najtańszej w Europie kolejki. Nie ma większej radochy niż podróż w klatce pod Marmoladę – szydziliśmy z wagonika kolejki o kształcie podkowinastej klatki, do której wchodzi 2 osoby i na stojąco wjeżdżają do miejsca, gdzie zaczyna się lodowiec Marmolady i szlaki na jej szczyt. Po ekscytującej podróży w wiszącej klatce, w czwórkę pędzimy razem z tłumem z kolejki wyraźnym szlakiem, lecz już po kilku minutach stwierdzamy, że tłumy pędzą, by dotknąć lodowca i wrócić do położonego tuż obok komercyjnego tzw. schroniska. Tu zakładają raki ci, którzy wybierają się na „Marmolkę” po lodowcu. Więc to nie tędy! – Póki co zimowy sprzęt jest dla nas za drogi. Zabraliśmy się do szukania szlaku po stałym lądzie. Wkrótce rozdzieliliśmy się po 2 osoby, ponieważ różnice kondycyjne między nami były znaczne. Szukanie szlaku zajęło nam z godzinę, podczas której wszyscy się pogubili.

Mnie udało się odnaleźć szlak, więc z radością szedłem do przodu z trudem wyszukując pośród białych „dolomitowych złomisk białej, wąskiej ścieżki. Wkrótce ścieżka zgubiła się w luźnych piargach u stóp małego lodowczyka, który zdaniem książkowego przewodnika „da się bez większych trudności przejść bez raków”. Okazało się, że z tego miejsca wielu ludzi wraca. Jeszcze wtedy nie wiedziałem dlaczego, ale już wkrótce przekonałem się na własnym, obolałym, nieco siedzeniu. Pomimo to próbuję – przecież lodowczyk ma tylko 200 metrów długości. Stromo podchodzi pod przelecz, na której początek bierze zachodnia grań Marmolady, którą biegnie ferrata. Przejście „bez większych trudności” 200 metrów lodowczyka zajęło mi jakieś 2 godziny (cha, cha, cha: średnio 1m/min). To była dopiero przygoda: wchodzisz 30 metrów, po których okazuje się, że dalej gładko... bez stali na nogach ani rusz - po gładkim lodzie zjeżdżasz 20 metrów bez możliwości





hamowania. Pięknym ślizgiem zjeżdżam więc z powrotem i szukam innej drogi. Wraz ze mną próbowali inni. Krzyżąc więc do siebie po angielsku powoli jakoś znaleźliśmy jakieś śliskie, ale możliwe przejście. Nareszcie! Ze skały spływała zbawienna końcówka stalowej liny, której druga część zamrożona była w wiecznym lodzie. Tamci ubierali uprzęże, ale przecież, według mnie, jeszcze za wcześnie, to jeszcze nie właściwa ferrata, więc włoscy turyści z podziwem w oczach mieli okazję podziwiać tempo turysty z kraju najlepszych himalaistów, w jakim zostawiam ich na dole z ich uprzężami. Po chwili byłem na przełęczy. Tu już założyłem uprzęż, bo skały miejscami były mocno oblodzone, poza tym zabawa z karabinkami to całkiem ekscytujące zajęcie, a dźwięk, z jakim się zatraskują, to miód dla ucha w tych cichych przestrzeniach. Powoli przepinałem karabinki z liny na linę. Towarzyszył mi tylko ich metaliczny szcęk i cichy szum w uszach od wysokości. Pod nogami przepaść, a dookoła cały czas niesamowite widoki, choć przejrzystość powietrza zaczynała lekko sinieć mgiełką. Ferrata robiła wrażenie raczej nudnej, prawie nikogo na niej nie spotkałem (no tak, przecież było już po sezonie), a spotkany Francuz oczywiście w ząb nie znalazł żadnego „cywilizowanego” języka. Z uśmiechem więc, patrząc mu w oczy, wygarnąłem: „Ty kretynie, naucz się choć kilku słów po angielsku,” Na co on wyjął zegarek i gestykułując coś tam bełkotał po swojemu. Na odchodnym, ku jego zdziwieniu, rzuciłem: „je ne comprend Pau” (=nie nie rozumiem) i wspinałem się dalej. Ferrata była coraz bardziej dłuzka się i monotonna: nie przynosi tyle wrażeń i adrenaliny, co inne; nie ma zbyt efektownych przepaści pod nogami, a i widoki przez to, że jest to najwyższy szczyt w okolicy, są mocno spłaszczone i przesłaniane co jakiś czas przez ściany grani. Wkrótce wczłapałem na płaski odcinek – koniec liny. Stąd został mi jeszcze kawałek stromo do góry po śniegu i piargu i - zobaczyłem skleconą z blachy i odpadków drewna – wywleczonego tu chyba jeszcze przez szalonych żołnierzy podczas 1-szej wojny światowej – budę bufetową.

Widok był szokujący - co za 'włoski stylist' tu tę ohydę postawił? Rzuciłem do idącej z naprzeciwka młodej turystki: 'Ciao'. Odpowiedziała: 'Ciao', lecz po chwili usłyszałem zza pleców jej głos: „POLAK ??? - poznałam po plecaku Alpinusa !!!” No proszę; więc i było z kim pogadać – „mordy nam się cieszyły” z tego poznawania Polaków po Alpinusie. Po kilkunastu minutach pogawędki, poczułem, że robi się mi zimno - no tak, dookoła śniegi, lody, prawie 3400 ponad Adriatykiem, a ja w krótkich spodenkach i podkoszulce. Oglądając dookoła panoramę byłem trochę zawiedziony – do dziś śmieję się, że to najwyższy szczyt, a widoki takie mierne... no może nie mierne, a nienadzwyczajne. Szlak też... zresztą; Przerklamowane... Jeszcze tylko pieczątki z blaszanej, rdzewiejącej budy na pamiątkę. Właściciel wytoczył się z niej z wiaderkiem i łopata narzucił zdeptyany śnieg na herbatę. Bon appetito signiore !!!

- Może ktoś kiedyś zrobi dobry uczynek i ot tak dla ciekawości zechce mu się popatrzeć, jak obity blachą

,trzeszczący grantastolup leci w południową przepaść, albo zjeżdża po północnym lodowcu; ech to by było widowisko... a jaki plus dla krajobrazu! Póki co, ze szczytu widok zasłania z jednej strony krzyż, z drugiej buda, trzecia strona jest nieciekawa, a czwarta ukazuje nam kolejkę na sąsiedni – niższy szczyt Marmolady i tłumy kolejkowych 'mieczaków'. Schodziłem w dół tą samą nudną ferratką cały czas myśląc że najgorsze przede mną – lodowczyk 'bez większych trudności'. Jednak okazało się, że schodzenie (zjeżdżanie he, he :) jest znacznie zabawniejsze i szybsze. Tym razem tylko 30 minut. Poniżej lodowca już nieco zmęczony, ale uradowany, że lodowiec już za mną, usłyszałem czyjeś wołanie. Wyraźne 'help' zaniepokoiło mnie, lecz po chwili, 200 metrów od szlaku, zobaczyłem jakąś panią, która chyba się ucieszyła, że mnie widzi, bo poprosiła, żebym zaczekał na nią. Po chwili, gdy już dobiegła do mnie, z niemieckim akcentem po angielsku, wytłumaczyła mi, że zgubiła szlak i resztę rodziny. Krzyżeliśmy więc przez kilka minut czekając na pogubione w pobliżu dzieciaki, męża i siostrę. Na szczęście wszyscy byli w zasięgu głosu i szybko nas znaleźli. Rzuciłem na nich okiem: wyekwipowani należycie: solidne buty, gore-texowe kurtki, plecaki... zniecierpliwione przeze mnie kijki 'narciarskie', wszystko widać, że nowe... Prosił mnie, bym ich zaprowadził do stacji kolejki, bo sami nie wrócą. 'OK, no problem' odpowiedziałem i ruszyłem powoli w stronę stacji. Po drodze 'mąż' pokazuje mi niemiecki przewodnik i mówi, że kierowali się tym, co w nim napisane i pokazuje mi rozdział. Niestety, mówię mu, że znam tylko angielski, więc pan mi tłumaczy na angielski, ja sobie na polski: „Szlak, bardzo łatwy, idealny na niedzielną wycieczkę z dziećmi”. Ha! czyli mój polski 'bez większych trudności' przewodnik został przebity !!! Marmolada spacerkiem dla dzieci !!! Tłumaczę niemieckiej rodzinie, co by ich dalej czekało, groźnie pogrężając karabinkami z uprzęży, chyba skutecznie, bo mówili coś, że już nigdy się w góry nie wybiorą. Trzymali się mnie kurczowo: jak nieco przyśpieszyłem, oni dysząc nadążali za mną bojąc się znów zgubić (faktycznie szlak tam jest oznakowany fatalnie, a ścieżka niemal niewidoczna) Powoli dotarliśmy do kolejki, przy której zostawiłem zestresowaną rodzinę. Śmiejąc się z nich pod nosem wsiadłem do „klatki” i podziwiając widoki, stąd o wiele fajniejsze niż ze szczytu, z dumą w sercu zjechałem na dół, gdzie czekała reszta. Tylko mnie z naszej czwórki udało się odnaleźć właściwy szlak i wywspinać na najwyższy szczyt Dolomitów. Ostatni rzut oka na masyw, zapuszczam silnik i sześćdziesiąty dziewiąty raz słuchamy kasety, brawurowo pędząc w dół po serpentynach. Niestety... znowu Dolomitan Bus, więc klakson, gaz... przecież zmierzamy na bezpłatny nocleg w 'hotelu miliongwiazdkowym' na darmowym parkingu pod Tofaną di Rozes – najpiękniejszym, choć nie najwyższym szczytem Dolomitów, do tego z najwspanialszą, przepaściastą via ferrata Lipella. Ech Tofano! ... przypaliłem opony na kolejnej serpentynie, pasażerowie pobledli, lanos zapisał a ja klakson, gaz.... Ech Tofano...

DA

POLSKIEGO

TOWARZYSTWA

TATRZAŃSKIEGO

ODDZIAŁ - SOSNOWIEC

ORAZ DLA WSZYSTKICH

PRZYJACIÓŁ WOTKA BELLONA

WOLNA GŁOŚNIA

POKROWIEC

Włocławek Jurek

Wojciech Mrowiński

Robert Jurek

Anaizyme Kubacki